

MIROŚLAW JABŁOŃSKI

ur. 1953; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Kowel, Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Projekt Lublin 1918-2018. 100 lat miasta w fotografii i wspomnieniach, Kowel, Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL, rodzina Jabłońskich, rodzina Ulbrychów, Jabłoński Henryk, Jabłońska Anna, historia rodziny, dziadkowie, wydarzenia wojenne, zawód lekarza, fotografie opowiadane, Uniwersytet Medyczny w Lublinie

Mirosław Jabłoński - całość relacji świadka historii

1. Pradziadkowie, dziadkowie i życie w Kowlu

Po latach doszedłem do wniosku, że warto podzielić się pewnymi wspomnieniami, które w sposób naturalny będą się jednak niekiedy mieszać i plątać, bo jestem trzecim pokoleniem, które „pamięta”. A przekaz ustny bywa niekiedy ulotny, co wiemy chociażby porównując teksty Ewangelii. Z dokumentów pisanych mam m.in. świadectwo z Veterans Administration, które dotyczy jednego z moich przodków - zapisał się on do Legii Cudzoziemskiej jako obywatel Stanów Zjednoczonych, aby powrócić do kraju, ale ostatecznie zginął w bitwie pod Verdun - jako jeden z blisko chyba miliona młodych mężczyzn. Wśród nich był właśnie Antoni Winogradzki - syn zesańca, który nie dojechał na Syberię, bo „dał nogę”, gdzie się zaokrętował i przepłynął Atlantyk. Z tą zbędną i przedwczesną śmiercią jako ubezpieczonego żołnierza Legii Cudzoziemskiej związane było odszkodowanie i dlatego ten dokument był ważny. Prababcia Michalina, która wcześniej owdowiała i spoczywa przy ulicy Lipowej na naszym lubelskim cmentarzu mogła wywianować za te pieniądze swoje trzy córki. Biuro ubezpieczeniowe Prudential odnalazło prababcię, jako jedyną spadkobierczynię po dwudziestu paru latach poszukiwania. Moja babcia Zofia była jedną z tych obdarowanych (była jeszcze ciocia Stasia oraz ciocia Helena, po mężu Czubińska) i wyszła za mąż za Kazimierza Ulbrycha. Z tego związku powstała dwójka dzieci. Ponieważ dziadzio Kazimierz jako telegrafista był uczestnikiem wojny w 1920 roku, miał zapewnione i związane z tym pewne przywileje jako ten, który bronił wówczas spraw Polski. Czy to było „szczęsne” czy nie – trudno powiedzieć. Dziadkowie przenieśli się z Lublina, gdzie po I wojnie dziadek pracował jako urzędnik

poczty, do Kowla - ponieważ tam oferowano awans kierowniczy i znacznie lepsze warunki płacowe. Pracował w dziale tak zwanych aparatów juza – pisane przez „h”: Hughes. To był angielski system dalekopisów, przesyłania informacji – taki telegraf. Po wkroczeniu armii radzieckiej sytuacja życiowa w Kowlu zmieniła się drastycznie na niekorzyść. Opowieści przedwojenne były takie, że rodzina żyła spokojnie z jednej pensji, wybudowała domek, zakupiwszy działkę nad rzeką Turia - dopływem Prypeci, od ukraińskiego właściciela Trofima Czerniaka. To była tzw. Malinowszczyzna przy ulicy Monopolowej. Tam żyli nie cierpiąc żadnego niedostatku. A po czerwcu 1941 Babcia przez całą noc stała w kolejce, aby kupić kilogram cukru...

Rodzina Ulbrychów, bo takie było nazwisko rodowe mojej matki i dziadka – to z kolei nazwisko niemieckie, które wiąże się z kolonizacją ziem w okolicach Kraśnika. Zresztą, to nie jedyne takie nazwisko rolników, którzy zostali zaproszeni prawdopodobnie za czasów carskich na ziemie, które być może zarekwirowano powstańcom w związku z powstaniem 1861-1863 roku.

Ale wracając do rzeczy - wujek Ryszard, który spoczywa teraz na cmentarzu na Powązkach w Warszawie, uczył się gry na skrzypcach, miał doskonały słuch muzyczny. Oboje z mamą korzystali z prywatnych lekcji języka francuskiego. Zamawiano cytrusy i śliwki kalifornijskie dwa razy do roku - przy okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Dochodziły nietknięte, niezepsute i były na stole regularnie - raczej jako przysmak, bo nie były przecież stale dostępne. Kontynentalne warunki klimatyczne pozwalały między innymi – to pamiętam z opowieści mamy – na uprawę melonów i kawonów - teraz mówi się arbuzy. W Kowlu mieszkali Polacy, obywatele polscy wyznania mojżeszowego i m.in. Czesi, którzy zajmowali się wytworem wędlin. Ukraińców w mieście było niewiele. Tę narodowość deklarowali raczej mieszkańcy pobraża miasta i wsi. Węzeł kolejowy łączył pięć linii, działało państwowe gimnazjum, kościół.

Jesienią 1939 r. zniknęły ze składu profesorskiego gimnazjum kowelskiego dwie osoby: ksiądz Szpaczyński -zamordowany oraz dyrektor szkoły, który przepadł bez wieści, i już nigdy się nie pojawił. W to miejsce dano zsovietyzowaną obsadę oczywiście ukraińską, i otworzono szkołę zapraszając profesorów do uczestniczenia w dalszej nauce uczniów. Doszedłem do przypuszczalnych losów księdza Szpaczyńskiego, który tuż po wejściu sowietów zrobił zebranie i poinstruował dzieci gimnazjalne, żeby przestały żegnać się przed kościołem, przed którym przechodzą... z ust księdza, żeby się nie żegnały przed kościołem? Ale to było wtedy nader bardzo rozsądne. Sam dał głowę zamęczony przez przeciwników „systemowych, ideologicznych”. Mama początkowo odmówiła uczęszczania do „sowieckiej” szkoły, ale koleżanka ją namówiła: „Nie bądź nierozsądna – powiedziała to dosadniej – papier jest papier i to może ci się kiedyś przydać, że tą szkołę przynajmniej częściowo będziesz miała poza sobą”. I tak rzeczywiście się stało. To były prorocze słowa, bo oto ta karta, nazwisko jest napisane po polsku - Ulbrychówna Anna – bo tak wtedy nazywano niezamężne kobiety. Kowel, no i są podpisy. Były różne

przedmioty. Wśród nich nawet konstytucja Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. To świadectwo umożliwiło dalsze kształcenie w Lublinie na wydziale lekarskim.

Zdjęcia [które posiadam] dają obraz życia warstwy powiedziałbym średniomieszczańskiej Kowla. Nie bogatej, ale też nie ubogiej. Dlaczego nie bogatej? No bo ci, których było stać na rzeczywiście wiele, poruszali się już wówczas polskimi Fiatami i powozami. Ale z drugiej strony po dziadka, jako urzędnika państwowego, codziennie przyjeżdżała bryczka zawożąc go do pracy. Bryczka państwowa, pocztowa, która odwoziła go też po pracy do domu. Dziadek polował, jeździli z polowaniami na pińskie błota. Przyjeżdżało wielu „pocztowych” kolegów, także przełożonych z Lublina. Obchodzono uroczystości patriotyczne, państwowe, różne rocznice. Życie społeczne było regulowane. Respektowano wzajemnie różnice wyznaniowe. Był taki przekaz, żeby w sobotę zbyt głośno nie hałasować, bo wtedy Żydzi mają swoje święto religijne. Jeżeli przesuwali się w czasie święta prawosławne, to dzieci korzystały najwięcej, bo wędrowały i „wycyganiały” łakocie z jednych, i z drugich domów, bo wszyscy żyli w symbiozie. Do wybuchu wojny nie było właściwie żadnych – taki przynajmniej był przekaz ustny – prób jakiegokolwiek wywyższania jednych nad drugich. Zwłaszcza, że wiedziano, iż jest się właściwie na ziemiach w jakimś sensie etnicznie bardziej ukraińskich – ziemiach, nie miasteczkach, bo to jest pewna różnica. Już wspomniałem, że pobrzeże i wioski były jednak przesiąknięte duchem „Samostijnej” Ukrainy, ale nie prowadziło to jeszcze do ostrych konfliktów. Demony zostały zbudzone przez działania i ambicje polityczne.

Dziadzio rozpoczynał naukę w szkole rosyjskiej w Wilkołazie, bo polskich szkół przecież nie było. Chodził blisko dziesięć czy dwanaście kilometrów dziennie do szkoły. Był uznawany za jednego z lepszych uczniów i nawet promowany jako nadzorca odcinka budowy linii kolejowej Lublin-Kraśnik, która powstała „za caratu”. Podobnie zresztą jak teatr lubelski - to była inicjatywa carskiej Rosji, żeby zrównoważyć śpiewy religijne z kościoła Piotra i Pawła nieopodal - vis-à-vis.

2. Jeszcze o rodzinie dziadków, Kowlu i Lublinie słów kilka

We wspomnieniach zwłaszcza mamy i wujka Rysia Kowel, to był Eden, to był raj. No bo to jest też taki okres w życiu. Cokolwiek jest wtedy, jawi się jako atrakcyjny czas w domu rodzinnym w młodych latach. Były tam też dwa psy, które nie miały prawa przekroczyć progu domostwa. Zwierzaki mieszkaly w dwu ogaconych na zimę budach. Te wyżły brały udział w polowaniach.

Wszystko materialne, co związane było z wojną 1920 roku „wylądowało” w studni w Kowlu. Nikt nigdy „świadectw” tych oczywiście nie znalazł - trudno, żeby było inaczej. Dopóki nie weszli Niemcy, była słuszna obawa rodziny, że wywiozą na Syberię, że ktoś wyda, że ktoś powie. Co prawda nie byli na pierwszej linii frontu do wyjazdu, bo tam trafiali najpierw pogranicznicy, sędziowie, policja, osoby zadenuncjowane i tak dalej.

Ulbrychowie w Polsce powojennej byli prawdziwymi uchodźcami ze wschodu, bo nie zadeklarowali obywatelstwa ukraińskiego czy sowieckiego - jak kto woli. Wybrali Polskę i wobec tego musieli stamtąd się wynosić. To przypomina trochę pewne fragmenty „Przedwiośnia” Żeromskiego. Przyjechali z jakimś stołem, krzesłami, szafą, tremo, otomaną i to było wszystko. A dlaczego w Lublinie? Po pierwsze dlatego, że była to ewakuacja cywilów i dodatkowo frontowa. W Lublinie ponadto pozostała uprzednio część rodziny. Bo część rodziny jest od końca XIX wieku lubelska. Do końca nazwisk wszystkich nie pamiętam, ale wiem, że było takie mieszkanko przy ulicy 1 Maja - to raz. A dwa - wujek Rysio załatwił odłączenie tego wagonu i tam jeszcze było kilka rodzin takich właśnie „quasi” lubelaków - na stacji lubelskiej. Reszta „dokądś” pojechała i właściwie ślad po nich bezpowrotnie zaginął. Mama była zawsze aktywną, wyemancypowaną i wiodącą uczennicą konkurując między innymi ze wspomnianymi koleżankami w recytacjach, w wypracowaniach i tak dalej. Ostatecznie została profesorem pediatrii i przez wiele lat prowadziła czwarty oddział wewnętrzny w szpitalu przy ulicy Staszica. Miała bardzo duże zacięcie estetyczne i porządkujące rzeczywistość. Ponieważ wiele publikowała posługiwała się często nazwiskiem Ulbrych-Jabłońska z racji popularnego występowania tego ostatniego, aby właściwie kojarzyć autora.

Babcia była korpulentną osobą, zawsze uśmiechniętą, zawsze skłonną do poświęceń. Teraz dopiero mogę z perspektywy czasu ocenić, jak cenny był jej wkład w moje wychowanie. A z kolei dziadek od czwartego-piątego roku życia czytał mi regularnie wieczorem – zwłaszcza w jesienno-zimowy okres – trylogię Sienkiewicza i dzieła wszystkie Adama Mickiewicza ze wstępem Tadeusza Pini. Oddałem tę drugą książkę do biblioteki KUL, bo papier tak zwany „kwaśny”, zaczął się sypać. Taki papier zaczyna się tak kruszyć, że jakiegokolwiek posłużenie się książką grozi unicestwieniem zapisu. Zeskanowałem całą książkę. W jej przedmowie widnieje zdjęcie jeziora Świtez. Piękne zdjęcie.

Dziadek ze strony ojca - Stanisław, miał blisko dwa metry wzrostu. Mocno zbudowany, żołnierz carski, wcielony jako poddany, gdzieś tam pod chińską granicę doszedł pieszo. Wrócił w związku z rewolucją 1917 roku. Przeżył 92 lata, nigdy na nic nie chorował.

3. Rodzice

Tata był krótko w seminarium duchownym w Kielcach. Skończył ostatecznie w mieście rodzinnym gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, „końcówkę” dorabiając w czasie tak zwanych tajnych kompletów zorganizowanych przez podziemne państwo polskie. Zresztą przez te komplety, zastany przypadkowo podczas rewizji gestapo w domu z książką w ręku, siedział przez kilka tygodni w więzieniu. W ostatnich dniach wojny „dał nogę” z Kielc z uwagi na działalność w Armii Krajowej, w którą był mocno zaangażowany. Dowiedział się pocztą pantoflową, że [w Lublinie] otwierają uniwersytet. Uniwersytet został powołany wcześniej, zanim działania wojenne ustały.

Wobec tego rzucił wszystko, żeby zniknąć z Kielc i przeniósł się do Lublina na studia. Był taki okres, kiedy nie mając żadnego oparcia lubelskiego, przed ożenkiem przeniósł się na Katedrę Medycyny Wojskowej UMCS. Powód był prosty – otrzymał sort mundurowy i trzy razy dziennie pęczak. Mówił potem często, że nie mógł patrzeć później na tą kaszę. Zrobił taki ruch, żeby gdzieś się „przykleić” do jakiegoś akademika, mieć bezpłatne utrzymanie. Skończył ostatecznie wydział cywilny lekarski Akademii Medycznej w Lublinie, wydzielonej po 5 latach z UMCS-u. Następnie po kilkuletnim okresie pracy jako lekarz w Biłgoraju w szpitalu „u doktora Pojaska” został wcielony do wojska.

Ojciec był fanem podróżowania, w związku z tym mieliśmy jako rodzina chyba drudzy w szpitalu wojskowym samochód osobowy - „moskwicza”. W I Wojskowym Szpitalu Okręgowym w Lublinie Tata pracował przez wiele lat. Wziął na zapisy, na kredyt, spłaty ratalne - moskwicza 407, „górnoszaworowego” – to był wyczyn. Ten moskwicz zresztą jeździł w strefie tak zwanej przygranicznej konwencji i do NRD, i do Czechosłowacji. Ojciec jako lekarz ortopeda był bardzo aktywny. Chirurgia wojenno-polowa miała w ówczesnym okresie bardzo duże znaczenie prestiżowo-propagandowo-polityczne. Polska według obowiązującej doktryny miała być teatrem trzeciej wojny i zapleczem medycznym dla całego układu warszawskiego. Dlatego takie kierunki jak chirurgia urazowo-ortopedyczna, były bardzo, że tak powiem, promowane. Dlatego Szpital Wojskowy był przez 10 lat (1954-1964) miejscem, gdzie mieściła się akademicka klinika ortopedyczna. Były dwa pionierzy podległości – cywilny i wojskowy. Cywilnemu przewodził profesor Stanisław Piątkowski (także przez 8 lat mój nauczyciel), który przyszedł z Poznania jako uczeń Profesora Wiktora Degi – dwa wielkie nazwiska ortopedyczne polskie i światowe. A drugi pionier wojskowy podlegał doktorowi Władysławowi Lipińskiemu, który przedwcześnie i nagle zmarł. „Z próżni” i zauroczenia ortopedią wakat objął dr Henryk Jabłoński. Przez wiele lat kierował pracą oddziału urazowo-ortopedycznego. Ojciec, jako pacyfista z przekonania, trzy razy bezskutecznie pisał raporty o zwolnienie z wojska.

Mama, lubelanka z pochodzenia, kowelanka z zamiłowania, trzy lata młodsza od Taty, podobnie ukończyła wydział lekarski tej samej uczelni. Poświęciła się rodzinie i pediatrii kierując przez wiele lat czwartym oddziałem wewnętrznym szpitala dziecięcego przy ul. Staszica. Uzyskała godność profesora nadawaną wówczas przez Radę Państwa. Ojcu towarzyszyła do Jego odejścia i opiekowała się Nim z oddaniem przez ostatnie kilkanaście lat. Babcia Hania była zakochana bez reszty we wnuczkach – Zosi i Judysi.

4. Stacja malaryczna w Lipie

Profesor Witold Chodźko, którego nazwisko było znane „onegdaj” w świecie – był ekspertem WHO-wski, między innymi od malarii - wówczas miał katedrę chyba epidemiologii czy mikrobiologii (to jest w zapisach do ustalenia). A mój ojciec zaczął pod jego patronatem pracę doktorską, która polegała na zbieraniu próbek-rozmazów

krwi z zarodźcami malarii – różnych rodzajów – między innymi chorych osób i była w Lipie. Tam występowały wszystkie rodzaje malarii (po Kozakach czy Niemcach z Afrikakorps). Po nieoczekiwanej śmierci profesora Chodźko sprawa doktoratu Ojca została odłożona na długo ad acta.

5. W zawodzie lekarza nie ma miejsca dla ludzi słabych

Fotografia przedstawia pierwszy rocznik studentów Wydziału Lekarskiego UMCS, teraz jest to budynek Collegium Iuridicum KUL-u, wówczas Collegium Anatomicum. Widoczne są na niej znane i zasłużone osoby. Wśród nich jest między innymi profesor Raabe, pani profesor anatomii Lize i wiele szacownych postaci - profesorowie tacy jak Biruta Fąfrowicz, Gerkowiczowie. Jeden z dziekanów – Tadeusz Kielanowski – to było wielkie nazwisko, później [pracował] w Gdańsku. Studia medyczne są wymagające i np. anatomia, to z tygodnia na tydzień prawie sześćdziesiąt stron nie tylko do przeczytania, ale do opanowania. Między cztery a sześć tysięcy nowych haseł po łacinie i po polsku rocznie, równocześnie, łącznie ze znajomością znaczenia tych haseł. Na anatomii – przynajmniej na moim roku, nie wiem jak było u rodziców – odsiano z blisko czterystu pięćdziesięciu osób do trzystu. Nie ma miejsca w zawodzie lekarza dla słabych. W poradnikach wydanych jeszcze „za komuny” bardzo sensownie pisano, że przyszłego lekarza ma cechować ponadprzeciętna wytrzymałość psychofizyczna. Kropka, nic więcej. Jak nie, to się po prostu nie nadaje.

6. Moja szkoła średnia - liceum Staszica

Klasa IV A nie była tuzinkowa. Kolejne pokolenie nauczycieli, także akademickich oraz szczęśliwy zbieg okoliczności dobrał osobowości bardzo oryginalne. Oczywiście nie wszyscy w równym stopniu zapalali się do nauki, ale mnie sprawiała po prostu przyjemność. Pewnie wielu z klasy uważało mnie za kujona, ale z pewnością nie tworzyli większości, zwłaszcza, że często korzystali z mojej wiedzy podczas sprawdzianów i klasówek. Skończyłem z III lokatą maturalną I LO im. S. Staszica w klasie anglojęzycznej. Nauczycielem historii był Ślęzak, przedwojenny magister, profesor Kalinowski, założyciel DKF-u – Dyskusyjnego Klubu Filmowego. Także zespołu muzycznego - grał na skrzypcach. Mentor-patriota, a może nawet polski szowinista i wychowawca pokoleń. Języka polskiego przez dwa pierwsze lata szkoły uczyła mgr Małgorzata Szewczykówna, przedwojenna harcerka. Do dzisiaj pamiętam zadaną do nauki doktrynę predystynacji Kalwina i roli Reformacji w Europie. Tuż przed odejściem na emeryturę, a może nawet z tego powodu, zorganizowała klasową akademię obchodów rocznicy odzyskania niepodległości w listopadzie 1918 roku. W pamięci zapisał się także m. in. Szczepan Kamiński, wychowawca IV A, nauczyciel rusycysta, wicedyrektor, uczestnik obrony Przebraża na Wołyniu, żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK o czym niekiedy w węższym gronie uczniów opowiadał. Zorganizował, a Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie wówczas

zafundowała, nieodpłatnie autobus, i przejechaliśmy przed maturą szczęśliwie kempingowo prawie wszystkie „demoludy”...

Data i miejsce nagrania	2020-06-25
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"